

JACEK MATUSZEWSKI  
(ŁÓDŹ)

## *Kudrycyzacja, czyli poniewieranie nauki przez biurokrację*

*System, w którym:  
im więcej pieniędzy na naukę,  
tym mniej pieniędzy na naukę*

1. Kudrycyzacja nauki; 2. Finansowanie nauki – nieefektywność systemu; 3. Ocenianie naukowców;  
4. Kliniczny przykład pseudonauki; 5. Angielski; 6. Perspektywy.

### 1

Przez kudrycyzację nauki rozumiemy system, w którym wykorzystuje się autonomię nauki do podporządkowania jej na wszystkich szczeblach (ministerialnym, uczelnianym czy wydziałowym) władzy biurokracji. Biurokracja, w istocie powołana do obsługi działalności naukowej rozmaitych jednostek badawczych, a przede wszystkim do zapewnienia badaczom materialnych warunków uprawiania nauki, niezwykle sprawnie przerzuca swoje zadania na pracowników nauki (system grantów), zawłaszczając równocześnie przez zbiurokratyzowany system ocen kontrolę nad nauką. W rezultacie pracowników nauki ocenia się nie przez pryzmat dokonań badawczych, a przede wszystkim na mocy oceny umiejętności pozyskiwania przez nich pieniędzy. Przed kilku laty te innowacje charakteryzowano następująco: „Zachowanie urzędników Ministerstwa (minister to też urzędnik) przypomina zachowanie się dzieci: powrzuciły do bagna woreczki z pieniędzmi, a badacze zmuszeni są je wyławiać. Dzieci radośnie podskakują na brzegu, wołając: «o, ten już się utopił!... o, temu jeszcze widać głowę!... tamten trzyma w zębach woreczek!»<sup>1</sup>”.

Kudrycyzacja nauki to proces rozwijający się w związku z poszukiwaniem przez państwo oszczędności – właśnie w sferze nauki. Właściciel uczelni publicznych, wbrew konstytucyjnemu rozstrzygnięciu, stara się uchylać od obowiązku ich utrzymywania. Za pomocą różnych instrumentów – m.in. promując fragmen-

<sup>1</sup> A. Pilc, *Czy warto publikować analizy naukometryczne?*, „PAUza Akademicka”, 22.12.2011–5.01.2012, nr 147–149, s. 6.

taryczną (bo bez amerykańskich zasobów i bez funkcjonujących tam mechanizmów) amerykańską systemem szkolnictwa wyższego, kreując pozornie rynkowy charakter szkolnictwa i akademickiej nauki<sup>2</sup> – ogranicza swój udział w kosztach funkcjonowania szkół wyższych, wymagając poszerzenia samofinansowania się wszelkiego rodzaju publicznych akademii, w szczególnej mierze odwołując się do pobierania od uczących się za bezpłatną naukę czesnego. Choć nie wyłącznie. Jedną z alternatywnych form jest przyjęcie rozwiązania, w którym to nie pracodawca zapewnia pracownikowi środki na wykonywanie przezeń pracy, lecz przerzuca na zatrudnionego obowiązek starania się o finansowe zabezpieczenie warunków, których spełnienie niezbędne jest dla wykonywania obowiązków pracowniczych – uprawiania nauki. Co więcej, na badacza nałożony zostaje obowiązek zapewnienia środków na funkcjonowanie macierzystej jednostki realizowany w drodze najczęściej 30% narzutu obciążającego wydatki ponoszone na badania naukowe. Biedny naukowiec musi ponadto wspomagać Skarb Państwa, pozyskując tyle środków, by oprócz kwot niezbędnych na prowadzenie działalności naukowej oraz tych przeznaczonych na bezpieczne funkcjonowanie uczelnianej biurokracji (owe 30% narzutu), nie zabrakło pieniędzy, które zostaną odprowadzone (zwrócone państwu) w ramach obciążenia jego działalności badawczej podatkiem VAT. W sumie ok. 50% z sum uzyskanych na uprawianie nauki może zostać odebrane na inne cele.

## 2

System ubiegania się o takie środki finansowe jest wsparty na naiwnym założeniu, że badania naukowe można sparametryzować, a więc i zaplanować, tak jak proces produkcji: precyzyjnie określony pomysł – algorytm postępowania – zaplanowany efekt. Ale czy ma sens podejmowanie działalności naukowej, która prowadzi do uzyskania wyniku, znanego już w chwili podejmowania badań? Natomiast nieznanego zaplanować się nie da. Przywołajmy Władysława Marka Turckiego, który z subtelną ironią przez lata nawoływał do korzystania ze zdrowego rozsądku<sup>3</sup>. W 1996 r. przypominał, że gdy „w 1937 r. roku Narodowa Akademia Nauk USA podjęła próbę przewidzenia odkryć naukowych o szczególnie dużym znaczeniu dla praktyki”, to w opracowanym wówczas raporcie „nie ma ani słowa o energii jądrowej, antybiotykach, silnikach odrzutowych, DNA, rakietach, kom-

<sup>2</sup> Zauważmy, że w zaliczanym do najlepszych Massachusetts Institute of Technology „tylko niewiele ponad 1% wpływów stanowią dochody z kontraktów przemysłowych i innych form sprzedaży wiedzy”, W.M. Turski, *Alma Mater czy dojna krowa* [tekst z września 2003], [w:] idem, *Na marginesie*, Kraków–Warszawa 2013, s. 251.

<sup>3</sup> Zbiór Jego felietonów powinien być lekturą obowiązkową każdego kandydata na urząd ministra nauki, kultury czy edukacji.

puterach, tranzystorach, laserach, by nie wspomnieć o inżynierii genetycznej czy teleinformatyce”<sup>4</sup>. I cytujemy dalej: „Istota wielkich odkryć naukowych polega na ich nieprzewidywalności”, natomiast redukcja nakładów na badania podstawowe prowadzi do tego, że „zarzyna się kurę znoszącą złote jajka nieprzewidywalnych odkryć [...] Państwo, działając we wspólnym interesie obywateli, powinno wspierać badania podstawowe, których kierunek wyznaczają suwerennie sami uczeni”<sup>5</sup>. Zatem nie politycy, nie biurokracja mogą być podmiotami wyznaczającymi kierunki badań naukowych.

System ubiegania się o środki finansowe jest też mocno zbiurokratyzowany, a przez to i kosztowny. Nie udało się przy tym – nawet w przybliżeniu – oszacować, jaka część pieniędzy przeznaczona na naukę zostaje zużyta już w toku realizacji wstępnych procedur ubiegania się o przyznanie środków, zanim jeszcze jakiegokolwiek prace badawcze zostaną – jeśli w ogóle – podjęte. Nie udało się też trafić na jakąkolwiek informację, która wskazywałaby, że decydenci zastanawiali się nad kosztami, jakie wiążą się z funkcjonowaniem tego systemu. A są one na tyle niebagatelne, że trzeba było m.in. stworzyć możliwość ubiegania się o granty (czyt. pieniądze) przeznaczone na koszty związane z ubieganiem się o granty (czyt. o pieniądze) – granty na granty<sup>6</sup>. Do tego – jeszcze niedawno uznać by to należało za dowcip – pojawiają się szkolenia, które mają zapewnić „rozwój kreatywności i innowacyjnego potencjału doświadczonych naukowców poprzez [...] udział w konferencjach oraz różnego rodzaju szkoleniach”<sup>7</sup>, czyli organizowane są konferencje, których uczestnicy dowiadują się, jak należy uczestniczyć w konferencjach. Pojawiają się w uczelniach zespoły pracowników, którzy najczęściej obok innych zadań, powołani są do udzielania profesjonalnej pomocy w procedurach ubiegania się o granty (czyt. pieniądze). By pracownik nauki mógł podjąć próbę sprostania wymaganiom stwarzanym przez procedury ubiegania się o granty (czyt. o pieniądze), organizuje się dziesiątki kosztownych szkoleń, nader często prowadzonych przez zdecydowanie niekompetentne osoby.

<sup>4</sup> W.M. Turski, *Tego nie da się przewidzieć* [tekst z października 1996], „Na Marginesie”, Kraków–Warszawa 2013, s. 42–43.

<sup>5</sup> *Ibidem*, s. 44–45.

<sup>6</sup> Por. np. Komunikat Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego z 21 maja 2014 r. o ustanowieniu programu pod nazwą „Granty na granty – wsparcie polskich koordynatorów w programach badawczych Unii Europejskiej” (M.P. 27 maja 2014, poz. 377).

<sup>7</sup> Szkolenia szkolące do udziału w szkoleniach: „Regionalny Punkt Kontaktowy Programów Badawczych UE przy Uniwersytecie Łódzkim zaprasza wszystkie zainteresowane osoby na bezpłatne warsztaty pt.: Przygotowanie wniosku na konkurs: *Marie Skłodowska-Curie INDIVIDUAL FELLOWSHIPS (IF)*).

Szczególne marnotrawstwo przejawia się w tym, że stworzono system, w którym naukowiec (chemik, filozof, zoolog, socjolog czy neurolog) musi zdobywać i rozszerzać wiedzę nie w ramach uprawianej dyscypliny, lecz w sferze wiedzy do doskonalenia zawodowego zupełnie niepotrzebnej, którą można określić mianem „grantologii”. Ale wiedza ta jest mu zupełnie niepotrzebnie niezbędna.

Z jednej strony – dla funkcjonowania nauki szukającej możliwości znalezienia środków na jej uprawianie – rozbudowywane są struktury organizacyjne, obsługujące procedury, które mają prowadzić do pozyskania środków niezbędnych do wykonywania pracowniczych obowiązków przez pracowników nauki<sup>8</sup>. Z drugiej – po stronie dysponentów środków – też nie brakuje pączkujących struktur, którym przyznano prawo do uczestnictwa w rozdzielaniu pieniędzy<sup>9</sup>. Jest to o tyle istotne, że stworzony został system, w którym prowadzenie badań naukowych przestaje być możliwe, o ile nie uzyska się zgody na ich finansowanie ze strony – co naturalne – niekompetentnej biurokracji.

System nie przewiduje sytuacji, w której pracownik nauki na co dzień poświęca się (pomijamy tu zadania dydaktyczne) uprawianiu nauki. To na polskich uczelniach nie jest stan zwyczajny, dlatego też nie przewiduje się środków, które

---

<sup>8</sup> Niebagatelne znaczenie mają także koszty zbiurokratyzowania systemu uzyskiwania dostępu do przyznanych środków, a także sposobu akceptacji wydatków i rozliczania.

<sup>9</sup> Pomijając NCN, NCBR, NPRH, FNP, wymieniamy jedynie przykładowo: *Zespół do oceny wniosków o przyznanie środków finansowych na działalność statutową* – któremu towarzyszy powołanie dalszych zespołów specjalistycznych do oceny wniosków o przyznanie środków finansowych na działalność statutową: *Zespół Specjalistyczny Nauk Humanistycznych, Społecznych i Nauk o Sztuce i Twórczości Artystycznej (ZS-1)*, *Zespół Specjalistyczny Nauk o Życiu (ZS-2)*; *Zespół Specjalistyczny Nauk Technicznych i Ścisłych (ZS-3)*. Powoływanie takich zespołów wskazuje, że zdaniem biurokracji ministerialnej istnieją naukowe jednostki organizacyjne, których zadania statutowe nie zasługują na finansowanie.

A oto kolejne: *Zespół ds. oceny wniosków o przyznanie stypendiów naukowych dla wybitnych młodych naukowców*, *Zespół ds. projektów w ramach programu „Index Plus”*, *Zespół ds. projektów zgłoszonych do programu pod nazwą „Juventus Plus”*, *Zespół ds. projektów zgłoszonych do programu pod nazwą „Diamantowy Grant”*, *Zespół ds. oceny wniosków o finansowanie zakupu lub wytworzenia aparatury naukowo-badawczej stanowiącej dużą infrastrukturę badawczą oraz inwestycji budowlanych służących potrzebom badań naukowych lub prac rozwojowych*, *Zespół ds. projektów zgłoszonych do programu pod nazwą „Rozwój sportu akademickiego”*, *Zespół ds. programu wspierania infrastruktury badawczej w ramach funduszu nauki i technologii polskiej*, *Zespół ds. oceny wniosków zgłoszonych w ramach przedsięwzięcia pod nazwą „Inkubator Innowacyjności”*, *Zespół ds. projektów zgłoszonych w ramach przedsięwzięcia pod nazwą „Ścieżki Kopernika”*, *Zespół doradczy do spraw oceny rezultatów pracy brokerów innowacji w ramach programu pod nazwą „Brokerzy Innowacji”*, *Zespół ds. projektów zgłoszonych w ramach programu pod nazwą „Generacja Przyszłości”*, *Zespół ds. zasad prowadzenia badań naukowych w biomedycynie*. Oto zaledwie przykłady kształtowania systemu koncentracji dyspozycji środkami finansowymi na działalność naukową. Zwraca uwagę infantylne nazewnictwo.

są niezbędne do tej nauki uprawiania. Z etatem pracownika naukowego nie są związane – co do niedawna wydawało się konieczne – środki umożliwiające wykonywanie obowiązków zawodowych, czyli – powtórzmy – uprawianie badań naukowych.

Zatem o możliwości prowadzenia tych badań decyduje biurokrata, wyposażony w systemem ocen, punktów, recenzji. Tych ostatnich z zasady urzędnik nie rozumie, ale uważa się za uprawnionego, skoro posługuje się naukowymi – jak błędnie sądzi – metodami dyscypliny zwanej naukometrią<sup>10</sup>. Jednak zarządzanie nauką za pomocą pseudonauki do niczego dobrego nie może prowadzić. „Naukometria stała się ostatnio obsesją, gdyż uwierzono, że za pomocą różnych wskaźników można mierzyć poziom naukowości, a potem uszeregować uczelnie czy instytuty, od tych najlepszych do najgorszych. Uczestniczenie w tej zabawie pożera czas i energię chyba zbyt wielu osób”<sup>11</sup>. Głosy krytyczne podnoszą się od dawna, ale ich uwzględnienie nie jest prawdopodobne<sup>12</sup>, skoro groziłoby odebraniem biurokracji władzy i wiązałoby się z koniecznością podjęcia i wykonywania przez nią zadań, które do niej z natury należą: obsługiwanie nauki. Z drugiej strony uprawianie i posługiwanie się pseudonauką jest dla wielu naukowców wygodne, zwłaszcza gdy otwiera dostęp do pieniędzy<sup>13</sup>.

Biurokratyczne przekonanie ze strony państwa o nieuczciwości badaczy, doprowadziło do ukształtowania z jednej strony jak najdalej idących rozwiązań pozabawiających samodzielności w dysponowaniu przez naukowców środkami przeznaczonymi na naukę, a z drugiej systemu permanentnego nadzoru i nieustającej kontroli, przy ustawicznie zmienianych zasadach, mimo że ci, którzy chcą ominąć

<sup>10</sup> „Od kilkunastu lat walczę o wyeliminowanie z ocen osiągnięć naukowych takich pseudonaukowych substytutów jak punkty i «impakty»”, A.K. Wróblewski, *List*, „PAUza Akademicka. Tygodnik PAU”, 10.04.2014, nr 249, s. 2.

<sup>11</sup> A. Sawicki, *Naukometryczne pranie mózgow*, „Forum Akademickie” 2013, nr 7–8; por. też np. A. Płaźnik, *Naukometria – czyli jak z ersatzu zrobić stare wino*, „PAUza Akademicka. Tygodnik PAU”, 12.03.2015, nr 288, s. 1.

<sup>12</sup> „Wydział I PAN wystąpił do MNiSW z uwagami krytycznymi w sprawie zasad parametryzacji jednostek naukowych. W odpowiedzi otrzymał pismo, że zespół w pełni podtrzymuje swoje uprzednie stanowisko, wypracowane z udziałem ekspertów z zakresu nauk społecznych i humanistycznych. Jest to znak, że urzędnicy, w tym przypadku z tytułem profesora, przyjęły jednolitą taktykę, polegającą na ignorowaniu postulatów środowiska akademickiego, powołując się na opinię bliżej niezidentyfikowanych ekspertów”, J. Woleński, *Czas najwyższy powiedzieć dość*, „PAUza Akademicka. Tygodnik PAU”, 28.06.2012, nr 174, s. 3.

<sup>13</sup> Nikt dotąd nie pokusił się o wykazanie, że umiejętności skutecznego pozyskiwania grantów towarzyszyć musi umiejętność uprawiania nauki. Por. ciekawy przypadek, gdy w projekcie o wartości 2,9 mln zł, 2,2 mln przeznaczono na wynagrodzenia organizatorów projektu, M. Cieślak, *Dobrze urodzony skarżypyta*, „NIE” 2015, nr 30, s. 14.

reguły, zawsze znajdują sposoby<sup>14</sup>. Celem działania biurokraty jest wydawanie pieniędzy, które otrzymał do dyspozycji. Musi to robić sprawnie, bo z tego jest rozliczany. Myśli więc nie o tym, by osiągnąć ambitne cele, by wspomagać badania, wspierać wartościowe koncepcje, ale by uniknąć kłopotu. Tkwi w nim zrozumiała skądinąd niechęć do ryzykowania. Idea, by finansować wyłącznie badania gwarantujące sukces, to raj dla biurokraty. Niepowodzenie, wynik negatywny badań – to z punktu widzenia urzędnika źle wydane pieniądze. On nie chce ponosić odpowiedzialności. Zatem zdecydowanie trudniej uzyskiwać środki na projekty ryzykowne, choć jedynie te mogą (ale nie muszą) przynieść technologiczne awanse na miarę dziesięcioleci. Niestety zazwyczaj poprzedzać je musi mnóstwo błędów, a trzymanie się uprzednich planów i budżetu jest prawie niemożliwe<sup>15</sup>. Rezygnując z autonomii nauki, dla wygody biurokracji, jej bezpieczeństwa i ochrony przed ryzykiem, wprowadzono w nauce system stagnacji.

Dla przykładu Narodowe Centrum Nauki, czyli Centrum Unikania Kłopotów. Pomijamy problem kosztów dokonywanej selekcji: NCN ustala je, dzieląc sumę wydatków przez wszystkie zgłoszone projekty, choć jego zadaniem jest dysponowanie pieniędzmi, a nie odrzucanie wniosków. I tak w 2012 r. NCN chwalił się wynikiem niespełna 1100 zł wydawanych na jeden zgłoszony projekt. Gdy jednak dla tego samego roku spróbujemy ocenić koszt pozytywnej decyzji, a tylko takie należy brać pod uwagę, to wzrasta on o ponad 1000%. Pomijamy też niebagatelny problem ukrytego bezrobocia w sferze nauki, pojawiający się w świetle funkcjonowania procedury grantowej. Np. w maju 2015 r. zakończono konkursy Opus, Preludium i Sonata, tylko w trakcie których odrzucono 4348 wniosków<sup>16</sup>. Zatem jeżeli w każdym projekcie zatrudnionym być miały tylko dwie osoby, to okazuje się, że prawie 10 tys. pracowników nauki nie może z braku środków prowadzić planowanych badań. Co w takim razie robią? Zajmują się przygotowaniem kolejnych wniosków?

Pomijamy też problem doboru, oceny, kwalifikacji i rzetelności recenzentów, choć budzi on niemało skłaniających do pesymizmu wątpliwości<sup>17</sup>. Zwrócimy je-

<sup>14</sup> Por. np. losy 10 mln zł przeznaczonych na opłacenie wniosków patentowych, których na te cele nie wydano, a Ministerstwo nie jest w stanie wskazać, co się z tymi pieniędzmi stało, B. Gomzar, J. Kunikowski, *Pogromcy Izaaka Newtona*, „NIE” 2015, nr 32, s. 14.

<sup>15</sup> „Nie można przewidzieć, co konkretnie odkryją uczeni prowadzący suwerenne badania naukowe ani jakie znaczenie praktyczne będą miały te odkrycia. Pewne jest jednak, że bez takich badań nie będzie nowych, fascynujących odkryć, których dziś nie można przewidzieć. A takie właśnie zmieniają kształt naszej cywilizacji”, W.M. Turski, *Tego się nie da przewidzieć...*, *op. cit.*, s. 45.

<sup>16</sup> <https://www.ncn.gov.pl/aktualnosci/2015-06-24-statystyki-konkursow>.

<sup>17</sup> Oto niektóre uwagi przedstawione przez przewodniczącego Komitetu Chemii Analitycznej PAN, profesora Jacka Namieśnika w tekście: *Eksperci – słabe ogniwo działalności Narodowego Centrum Nauki*, „Panorama Polskiej Akademii Nauk”, lipiec 2015, nr 12 (45):

dynie uwagę na projekty, które zostały w procedurze oceny recenzowane w sposób w pełni satysfakcjonujący wnioskodawców – jako wybitne. „Zdziwiłem się, jak dobrze zostali dobrani recenzenci oraz jakie recenzje dostałem. W moim przypadku problemem nie były skandaliczne recenzje, a raczej to, że wystawiały tak dobre oceny, lecz pomimo tego zabrakło środków na finansowanie” – pisał na swoim blogu w 2013 r. E. Kulczycki. Na wyartykułowanie zasługują zatem wątpliwości co do procedury, a właściwie braku racjonalnego określenia dalszych losów wniosków, które choć wysoko ocenione, nie odniosły konkursowego sukcesu. Trafiają one do archiwum NCN, bez prawa dostępu dla kogokolwiek, czyli *de facto* wędrują do kosza, mimo że znaleźć się wśród nich mogą niesłychanie wartościowe projekty. W Narodowym Centrum Nauki nikogo nie interesują losy tysięcy odrzuconych – niekiedy wybitnych – projektów naukowych! No bo po co komu taki kłopot?

### 3

Kudryczacja zawiera w sobie także specyficzną procedurę oceny wywiązywania się ze swoich obowiązków przez pracownika<sup>18</sup>. Podstawową cechą tego systemu jest odrzucenie tradycyjnej i – jak by można sądzić – niezbędnej dla skutecznego działania zasady, że dokonujący oceny winien znać się na ocenianym przedmiocie i przed dokonaniem oceny powinien zapoznać się z dorobkiem pracowniczym

---

„– przedstawiane w opiniach zarzuty są często niemerytoryczne i świadczą o tym, że eksperci nawet nie raczyli wniosku przeczytać. Trudno także nie odnieść wrażenia, że oceny są coraz bardziej pośpieszne i biurokratyczne, i że eksperci nie przejmują się problemami merytorycznymi;

– opinie bywają tak zdawkowe i powierzchowne, że aż budzą podejrzenia co do braku wiedzy eksperta w zakresie tematyki projektu lub – co gorsza – ignorancji w tym zakresie;

– są przypadki regulowania nieporozumień osobistych czy też zawiści poprzez przyznawanie małej liczby punktów, choć nie wynika to z opisowej oceny projektu;

– są także przypadki poszukiwania na siłę uchybień formalnych, tak aby można było – z zupełnie niewiadomych przyczyn – odrzucić wnioski bez jego rozpatrzenia”.

Czy może być gorzej?

Zauważmy, że w pochodzącym z kwietnia 2014 (lub 2015?) streszczeniu wyników badań opinii ekspertów wewnętrznych oceniających wnioski złożone w konkursach (s. 9) znajdujemy następujące ustalenie: „Wyniki badania pozwalają sądzić, że stosowany w NCN system oceny wniosków znajduje się w pożądanej przez ekspertów fazie stabilizacji, a jego konstrukcja (rodzaj i waga kryteriów oceny) nie wymaga radykalnych zmian”. Narodowe Centrum Nauki. „Streszczenie wyników badań opinii ekspertów wewnętrznych oceniających wnioski złożone w konkursach OPUS 7, PRELUDIUM 7 oraz SONATA 7 w 2014 roku”, [https://www.ncn.gov.pl/sites/default/files/pliki/statystyki/2015\\_04\\_streszczenie\\_badania\\_opinii\\_ekspertow\\_wewnetrznych\\_ncn.pdf](https://www.ncn.gov.pl/sites/default/files/pliki/statystyki/2015_04_streszczenie_badania_opinii_ekspertow_wewnetrznych_ncn.pdf).

<sup>18</sup> Nie uwzględnia ona do dziś *Deklaracji z San Francisco* z 16 grudnia 2012 r. (DORA, czyli *San Francisco Declaration on Research Assessment*).

mającym tej ocenie podlegać. Zatem niezbędny wymóg kompetencji wobec oceniającego. Nic z tych rzeczy. Poznanie osiągnięć ocenianego? Tu potrzebny wysiłek. System ma być tak prosty, by do przeprowadzenia oceny była zdolna niemal każda sprzątaczką czy przeciętna sekretarka<sup>19</sup>. Nie mówiąc już o statystycznie inteligentnym urzędniku ministerialnej rangi. System punktów ewaluacyjnych rozwiązuje problem<sup>20</sup>. Wystarczą podstawy arytmetyki i każdy, kto ukończy szkołę podstawową powinien być zdolny do oceny i asystenta, i profesora. Ale do oceny pracy sprzątaczką już nie: tu podstawą oceny pozostaje nadal merytoryczna kontrola wykonanej pracy – czyli stan kosmetyczny powierzchni płaskiej. A do tego niezbędny jest już specjalista!

Stworzony został system – trzeba to zdecydowanie wyeksponować – przyjmujący za podstawę absurdalne założenie, że istnieje możliwość opracowania mechanizmu, który pozwoli dyletantowi kompetentnie oceniać wysoko kwalifikowane dzieło czy dorobek naukowy<sup>21</sup>. Zatem z założenia skazany na porażkę. Nie pomogą żadne algorytmy, bibliometrie czy wskaźniki altmetryczne. Oparto go do tego na błędnej supozycji, że da się porównać nieporównywalne: pracę językoznawcy, z pracą mechatronika czy biologa, architekta, pianisty, kardiologa, matematyka z badaniami historyka, pedagoga, chemika; że rozprawa doświadczonego naukowca zasługuje na taką samą ocenę, jak praca rozpoczynającego karierę badacza, tylko dlatego, że została zamieszczona w tym samym periodyku, że wartość pracy naukowej może być determinowana liczbą znaków niezbędnych do jej zarejestrowania<sup>22</sup>.

Mało doświadczeni twórcy takiego systemu nie chcieli pamiętać, albo po prostu nie wiedzą, że istnieją i są już dawno rozpoznane określone prawidłowości reakcji społecznej na tego rodzaju opresyjne rozwiązania – podstawową z nich jest umiejętność dostosowywania się. Jeżeli znany jest mechanizm przeprowadzania pozamerytorycznej oceny i jej kryteria, to zainteresowany z pewnością podejmie działania, które zapewnią mu pożądaną wynik. By uniknąć w tym miejscu podejrzenia o tendencyjność wypowiedzi odwołać się można do doświadczeń ze sfery motoryzacji.

W każdym periodyku tą dziedziną się zajmującym znajdziemy informacje wskazujące na zużycie paliwa przez kolejne modele aut poszczególnych producentów. Najczęściej są to dwie różne wielkości: wskazana przez producenta i druga,

<sup>19</sup> Już nie budzi nadmiernego zdziwienia dyspozycja referentki: „Panie Profesorze! Pańska praca nie jest pracą naukową – ma za mało stron”.

<sup>20</sup> By uniknąć wątpliwości: **pozornie**.

<sup>21</sup> Trudno się dziwić, że te warunki tworzą raj dla hochsztaplerów.

<sup>22</sup> Tu pojawić się może problem paradoksu przekładu: artykuł w języku polskim może spełniać ministerialne wymogi naukowości (½ arkusza), ale po przekładzie na język angielski może atrybut naukowości stracić.



uzyskana na podstawie testu przeprowadzonego na ulicach przez redakcję. Przyczyna jest prosta: przy konstruowaniu silnika producent wybiera rozwiązania zapewniające uzyskanie jak najlepszego wyniku w formalnej procedurze testowej, która realizowana jest w warunkach dalekich od użytkowych. Przeprowadzana jest w laboratorium, a jej parametry są podawane do publicznej wiadomości<sup>23</sup>. Zachowanie produktu w warunkach codziennego użytkowania nie ma tu większego znaczenia. Dlatego wyniki testowe niekorzystnie (nawet o 40%) odbiegają od deklaracji producenta w tym względzie. Zastosowany mechanizm oficjalnej oceny doprowadza do niepożądanego, ale łatwego do przewidzenia skutku: dostosowanie produktu do sformalizowanej próby w celu uzyskania w niej jak najlepszego wyniku, a nie do uzyskiwania jak najlepszych wyników w trakcie codziennego użytkowania<sup>24</sup>. Podobnie rzecz przedstawia się z oceną bezpieczeństwa konstrukcyjnie zapewnianego na wypadek kolizji (EuroNCAP). Testy zderzeniowe przeprowadzane są na określonych i znanych publicznie zasadach. Efekt? Ponieważ w próbach tych największe znaczenie przywiązuje się do ochrony na wypadek wcale nie występujących najczęściej kolizji czołowych, ochrony pieszego i dzieci, producenci, acz nie wszyscy, by uzyskać jak najlepszy wynik, z dużym zaangażowaniem wyposażają swoje produkty w odpowiednie rozwiązania zwiększające bezpieczeństwo w sytuacji testowej, nie zwracając już większej uwagi na bezpieczeństwo w zderzeniu np. skierowanym w tył pojazdu, zderzeń kątowych, czy koźiołkowania pojazdu. Nie chodzi zatem o bezpieczeństwo użytkownika pojazdu, ale o wynik testu zderzeniowego. Promocję produktu (liczba przyznawanych jak w hotelach gwiazdek) zapewnia spełnienie warunków testu, a nie wszechstronne bezpieczeństwo kierowcy i pasażerów. I nikomu to nie przeszkadza.

Dostosowanie się pracowników naukowych do oceny ewaluacyjnej jest równie nieuniknione i równie powszechne. Tylko tego chyba nie przewidywano, a dziś decydenci nie chcą dostrzegać. Na czym może polegać ewolucja aktywności badacza skierowana na właściwe przygotowanie do sformalizowanej oceny za pomocą punktów ewaluacyjnych? Na stwarzaniu lub wykorzystaniu każdej możliwości zdobycia punktów ewaluacyjnych<sup>25</sup>. To nie praca naukowa staje się przedmiotem

<sup>23</sup> Dyrektywa Rady z dnia 16 grudnia 1980 r. w sprawie zbliżenia ustawodawstw Państw Członkowskich odnoszących się do zużycia paliwa w pojazdach silnikowych 80/1268/EWG (L375/36 Dziennik Urzędowy Wspólnot Europejskich 31.12.1980, s. 77 i n.) z późn. zmianami.

<sup>24</sup> Trzykrotnie powtarzany test zakłada jazdę miejską (4 km z prędkością do 50 km/godz.) i na trasie (7 km z prędkością do 120 km/godz.); przy tym silnik jest uprzednio rozgrzany, zapewniane są optymalne warunki temperatury otoczenia i wilgotność, wyłączone są wszystkie odbiorniki energii. Zużycie paliwa wyliczane jest za pomocą pomiaru ilości spalin.

<sup>25</sup> L.M. Sokołowski, *Paszkwil przeciw naukometrii*, „PAUza Akademicka. Tygodnik PAU”, 23.04.2015, nr 294, s. 3.

zainteresowania pracownika nauki, lecz wyłącznie, czy przede wszystkim, działania przynoszące punkty<sup>26</sup>. Czasami może to być także praca naukowa, ale zbyt często przegrywa ona z alternatywnymi możliwościami. Niekiedy – choć nie wiemy jak często – prowadzi do działań kryminalnych<sup>27</sup>, często do działań nieetycznych<sup>28</sup>, powstawania arystokracji grantowej, choć niekiedy zjawisko to określa się także mianem gangów grantowych, do budowy spółdzielni wzajemnego cytowania, do autoplagiatów, do dopisywania jako autorów publikacji nazwisk osób, które z jej powstaniem nie miały nic wspólnego, do organizowania konferencji, których celem nie jest debatowanie nad naukowymi problemami, ale zapewnienie organizatorom i uczestnikom awansów punktowych, do powoływania periodyków, serii wydawniczych etc. tylko po to, by stworzyć struktury umożliwiające mnożenie punktów.

Ocena nauki nie jest rzeczą łatwą, ale uprościć tej działalności się po prostu nie da. Próby jakiegokolwiek parametryzacji zakładać muszą – powtórzmy – porównywanie nieporównywalnego, stwarzając pozory działalności racjonalnej. To rozwiązanie formalnie bezpieczne, choć nieefektywne. Dopiero system oceny merytorycznej (recenzencki) stwarza możliwość, ale nie konieczność promocji rzetelnych badań. Niestety i w tym zakresie rodzą się niepokojące biurokratyczno-formalistyczne tendencje. Przykładem może być dokonane w Warszawie 29 września 2014 r. przez Komitet Polityki Naukowej Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego: „określenie w poszczególnych obszarach wskaźników określających doskonałość prowadzonych prac badawczych”.

Pierwszy wskaźnik oceny określającej doskonałość to:

– „ocena wybranych przez danego naukowca nie więcej niż dziesięciu publikacji”.

Ten wskaźnik pomijamy, gdyż wydaje się, iż zalecenie, by w celu dokonania oceny doskonałości dokonywać oceny, jest mało inspirujące.

Pozostałe dwa kryteria:

– „udokumentowane duże zainteresowanie środowiska naukowego wynikami prac badawczych danej osoby [...]”,

– realizowanie badań podejmujących polemikę z panującymi paradygmatami, modami oraz trendami, podejmowanie ambitnych i ryzykownych tematów”.

<sup>26</sup> Por. np. C. Kosikowski, *Uczeni w zbieraniu punktów*, „Gazeta Prawna”, 6–8.03.2015, nr 45 (3938), C6.

<sup>27</sup> Zob. np. przypomnienie w „Polityce” sprawy wyludzeń grantowych w Instytucie Informatyki, Automatyki i Robotyki Politechniki Wrocławskiej (2015, nr 21/3010), czy wręcz porażające *Archiwum nieuczciwości naukowej* M. Wrońskiego w „Forum Akademickim”.

<sup>28</sup> Zob. np. mające tło grantowe rodzące wątpliwości spory o leczenie marihuaną, A. Wójcik, *Płatni wrogowie marychy*, „NIE” 2015, nr 32, s. 1.

zweryfikujemy na przykładzie pozwalającym na doskonałe odniesienie do owych kryteriów doskonałości<sup>29</sup>. Przedmiotem dalszych uwag będzie studium Jana Sowy, *Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą*.

Choć nie jest łatwo wymierzyć wielkość zainteresowania środowiska naukowego „wynikami prac badawczych”, to w odniesieniu do publikacji Jana Sowy trudno mieć wątpliwości, skoro obok zainteresowania stricte naukowego (szereg recenzji i wypowiedzi dyskusyjnych, nadzwyczaj pochlebne opinie w postępowaniu habilitacyjnym), jego prace badawcze wzbudziły także znaczący rezonans medialny (popularnonaukowy). Ponadto nie ulega wątpliwości, że autor podejmuje zdecydowaną „polemikę z panującymi paradygmatami”, a „ryzykowność” podjętego tematu występuje w bardzo wysokim nasileniu.

Nasze rozważania nad naukową doskonałością podejmujemy, analizując materiały postępowania habilitacyjnego, udostępnione do publicznej wiadomości po zakończeniu całej procedury<sup>30</sup>. Nie jest nam obca także sama monografia.

#### 4

Istotnym elementem kształtowania oceny badacza jest obowiązujący mechanizm naukowego awansu. Umasowienie doktoratu prowadzi do nadania procedurze habilitacji charakteru bardzo potrzebnego ostatecznego czynnika kontroli naukowych zdolności i kompetencji. Czyni to proces habilitacji niezbędnym dla ochrony nauki przed pseudonaukowcami i uprawianiem przez nich pseudonauki. W ramach reformowania nauki (kudryczacji) dokonano zmiany systemu habilitacji, rezygnując z publicznego (acz nie otwartego) kolokwium, które zastąpiła inkwizycyjna, zbiurokratyzowana procedura działań komisji habilitacyjnej. Czy przyjmowane rozwiązanie przynosi – i jakie – efekty?

Lektura książki Jana Sowy, jak i dostępnych materiałów procedury nasuwa wnioski o brzemienne w skutkach niedopatrzeniu: zajmujący się nowatorskim podejściem do dziejów państwa polskiego Autor, jak i oceniający go recenzenci nie zdają sobie sprawy, że wkraczają swoimi wypowiedziami na obszar od lat istniejącej dyscypliny naukowej **historii państwa i prawa polskiego**.

<sup>29</sup> Warto zauważyć, że w powołanym dokumencie dyskredytuje się szkoły naukowe, uznając za dowód braku doskonałości „bierne kontynuowanie badań zapoczątkowanych przez promotorów prac magisterskich i doktorskich”.

<sup>30</sup> W internecie zamieszczono jedynie część materiału wytworzonego w toku procedury habilitacyjnej, co stanowi wątplą namiastkę podstawy kontroli poprawności jej przebiegu ze strony środowiska.

Autor nie wie – i to jest kompromitacja, także recenzentów – że istnieje literatura historycznoprawna<sup>31</sup>, rozważająca już dawno wiele spraw, o których Jan Sowa nie ma pojęcia, albo co do których wydaje mu się, że je odkrywa. Wypowiadając się na temat dziejów państwa polskiego, nie raczył zapoznać się choćby z syntezami poświęconymi tej dziedzinie. Podejmując kwestię, która była przedmiotem nierozstrzygalnego sporu między szkołą krakowską i warszawską, nie widzi potrzeby nie tylko takiej, by do argumentów swoich poprzedników się ustosunkować, ale nawet do wskazania, że tego rodzaju dyskusja już miała miejsce. Do zestawu swoich lektur nie włączył podstawowego studium: syntezy państwa i prawa pod red. Juliusza Bardacha, nie zna też monografii sejmowych, nie interesuje go opracowanie Izabeli Lewandowskiej-Malec na temat szlacheckiego sejmu. Nie wie, że takie studium istnieje? Wypowiada się na temat relacji chłop–szlachcic w Rzeczypospolitej, bez jakiegokolwiek odniesienia do dziejów polskiego chłama<sup>32</sup>. Nie zna literatury jednoznacznie wykluczającej handel chłopami w Rzeczypospolitej, dzięki czemu pozwala sobie na utożsamianie poddaństwa chłopów z niewolnictwem (s. 129). Nie wie też, że dyskusja w tym zakresie wykluczyła ostatecznie przyjmowane przezeń stanowisko. Píše o obywatelstwie państwa szlacheckiego bez sięgnięcia do poświęconej temu zagadnieniu monografii Stanisława Grodziskiego. Problematykę polskiego ustroju poznaje z literatury obcej, stwarzając pozory wszechstronnej lektury. *Exempli causa*: dla Jana Sowy autorytetem jest angloamerykański naukowiec Perry Anderson, autor książki *The Lineages of the Absolutist States* (London 1974). Nie jest on znawcą ani dziejów politycznych Polski, ani tym bardziej jej dziejów ustrojowych, bo nim być nie może, skoro swą wiedzę na te tematy czerpie ze skromnych zasobów, dobranej zapewne ze względu na barierę językową, literatury<sup>33</sup>. Jan Sowa nie wyjaśnia, skąd naiwne przekonanie, że np. swą erudycję na temat artykułów henrykowskich można ograniczyć do tego właśnie studium. Przejmuje natomiast z pracy Anglika twierdzenie, że w artykułach henrykowskich pozbawiono króla prawa do powoływania armii powyżej 3 tys. żołnierzy<sup>34</sup>. Bo, choć to nieprawda, to pasuje do jego koncepcji. Kolejna fantazja na temat „Artykułów hen-

<sup>31</sup> Przywołanie jedynie dwóch zeszycików: *Wielkie bezkrólewia* Stanisława Płazy i *Spyry królów ze szlachtą w złotym wieku* Anny Sucheni-Grabowskiej z popularnonaukowej serii „Dzieje Narodu i Państwa Polskiego” zakrawa na kpinę.

<sup>32</sup> Np. nieznamość monografii Józefa Matuszewskiego (*Cham*, Łódź 1991) dyskwalifikuje jakiegokolwiek rozważania w tym zakresie.

<sup>33</sup> Np. *History of Poland*, red. J. Tazbir (s. 285, przyp. 14).

<sup>34</sup> „He could not [...] enlarge the minuscule army – 3,000 men – at his disposal (s. 286), co w tekście monografii habilitacyjnej wygląda: Spisane w 1573 roku artykuły henrykowskie dawały królowi prawo do utrzymywania pod swoją bezpośrednią komendą zaledwie 3 tysięcy żołnierzy” (s. 149).

rykowski: Zawierały one prawa uchwalone przez szlachtę samowolnie i wbrew tradycjom politycznym Królestwa Polskiego” (s. 245). A niby dlaczego?

By przedstawić szlachtę polską w jak najgorszym świetle, stwierdza: „Od czasów Ludwika Węgierskiego szlachta umiejętnie wykorzystywała każdą słabość monarchii, aby w kolejnych przywilejach zapewnić sobie jak najmniejsze podatki” (s. 215). A w rzeczywistości już w czasach Ludwika Węgierskiego szlachta uzyskała wolność od stałych podatków. Nie było więc czego zmniejszać w kolejnych przywilejach. I dalej czytamy: „Najpierw Królestwo Polskie, a później Rzeczpospolita stały się podatkowymi rajami”. Nic bardziej błędnego. Warto przypomnieć sobie uniwersały podatkowe przyjmowane przez kolejne sejmy, by docenić skalę nadużycia, jakie pojawia się w tej wypowiedzi Jana Sowy. Albo trochę poczytać<sup>35</sup>. Taka ignorancja jest podstawą do formułowania większości sądów. Habilitant odważnie podejmuje się reinterpretacji historii, której nie zna! Z całą powagą pseudonaukowca wypisuje bzdury. I na tej podstawie zostaje doktorem habilitowanym!

Autor rozprawy, charakteryzując cel, jaki mu przyświecał przy przygotowywaniu studium, pisze, że zaplanował „rekonfigurację i reinterpretację faktów, procesów i zjawisk już opisanych w historiografii. [...] Ważne fakty i zjawiska [...] są nie tylko odkryte, ale powszechnie znane. Moim celem jest ich reinterpretacja poprzez umieszczenie w dyskursywnej ramie nowych teorii” (s. 52). Choć o tym nie ma mowy *expressis verbis*, to musimy zakładać, że owe „Ważne fakty i zjawiska [...] nie tylko odkryte, ale powszechnie znane” – muszą być znane także autorowi podejmującemu się ich reinterpretacji. Bo w przeciwnym wypadku wszystko nie ma sensu. Podkreśla to inna jeszcze wypowiedź: „Niniejsza książka jest także próbą uzupełnienia luki, jaką w polskiej myśli społecznej stanowi brak systematycznej i kompleksowej reinterpretacji polskiej historii społecznej, kulturowej, gospodarczej i politycznej – czy też, mówiąc ogólnie, polskiego habitusu – przy wykorzystaniu takich narzędzi teoretycznych jak studia postkolonialne, teorie zależności, teologia polityczna, psychoanaliza oraz teoria hegemonii. To więc próba przepisania faktów i narracji, które są powszechnie znane, interpretowane jednak – w mojej opinii – w niekompletny, a czasem błędny sposób” (s. 35)<sup>36</sup>.

<sup>35</sup> Np. A. Filipczak-Kocur, *Skarbowość Rzeczypospolitej 1587–1648*, Warszawa 2006.

<sup>36</sup> Autor nie pozostawia wątpliwości: *Stosując historyczną perspektywę opisu i wyjaśniania, przyjmuję jednocześnie perspektywę interpretatora, a nie odkrywcy. Nie chodzi mi więc o poszukiwanie nowych danych, które zrewidują obraz jakiejś epoki historycznej, ale o rekonfigurację i reinterpretację faktów, procesów i zjawisk już opisanych w historiografii* (s. 50). Taką też ocenę książki znajdujemy w recenzji habilitacyjnej Przemysława Czaplińskiego, który pisze: *książka proponuje nowe ujęcie polskiej historii politycznej, [...] jej tezy wywracają rozliczne mniemania na temat naszych dziejów*. Kolejny z recenzentów, w większości poświęcił swą recenzję **zrecenzowaniu autoreferatu** habilitanta, w sposób nasuwający wątpliwość, czy z jego dorobkiem się w ogóle zapoznał. Jedynie ostatni z nich Andrzej Chwalba (doświadczony historyk), zakwestionował

Jan Sowa bezpodstawnie uważa, że osiągnął tak wybitny poziom doskonałości badawczej, że wolno mu zakwestionować tradycyjne podziały dyscyplin naukowych i przenieść się na szczebel jednej powszechnej wiedzy: „moje dociekania mają charakter społeczno-kulturowy i można najprościej zaklasyfikować je jako kulturowo-historyczną socjologię zacofania” (s. 29). I dalej pisze: „Granice dyscyplin nie odzwierciedlają jakichkolwiek obiektywnych podziałów w świecie na zjawiska ekonomiczne, społeczne, psychologiczne itd. [...] staram się też konsekwentnie unikać określenia «interdyscyplinary», które pod płaszczykiem metodologicznego postępu kryje de facto reakcyjną obronę istniejących dyscyplin” (s. 30)<sup>37</sup>. Jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, że odrzucając granice, przedstawiając się jako badacz *postdyscyplinarnego*, rezygnuje z ochrony, jaką daje prowadzenie badań w określonych obszarach i narzuca sobie – zdecydowanie pochopnie – wymóg posiadania wiedzy wszechstronnej.

Poważne wątpliwości rodzi także warsztat naukowy prezentowany w habilitacji. Autor w sposób nierzetelny sugeruje czytelnikowi, że zapoznał się z wypowiedziami literatury, np.: „Na rolę tego czynnika w kontekście polskim wskazywał również Jerzy Topolski”. Jednak sam nie czytał pracy poznańskiego historyka, a jedynie zna wypowiedzi na ten temat, co jasno wynika z przypisu 78: „Zob. A. Sosnowska, *Zrozumieć zacofanie*, dz. cyt., s. 175–176” (s. 149). A zatem tak naprawdę nie wie, co pisał Topolski!<sup>38</sup>, a posługuje się jedynie charakterystyką dorobku Jerzego Topolskiego dokonaną przez osobę trzecią. W innym miejscu przedstawia spór między historykami, też nie sięgając do ich prac (s. 166, przyp. 111). Efektem zapewne tej niekompetencji jest zarzucenie Janowi Rutkowskiemu, że należy do historyków posługujących się „w całości teorią gotową – marksowską i marksistowską” (*sic!*), i zaliczenie Jerzego Topolskiego do tej grupy polskich historyków, o których wolno powiedzieć, że „uczni zachodni mają przewagę nad Polakami pod względem

---

to autorskie podstawowe założenie habilitacji: „Szczęśliwie dla autora książka habilitacyjna nie jest z zakresu historii, gdyż jej ocena mogłaby być tylko negatywna”. Pozostali dwaj recenzenci również dostrzegają brak kompetencji habilitanta: „Nie sposób napisać takiej książki bez ryzyka formułowania uogólnień dalece wykraczających poza własną kompetencję. Czyli bez ryzyka popełniania błędów. Nie brak więc w «Fantomowym ciele króla» mniejszych i większych uchybień, nieweryfikowalnych zaokrągleń czy pominiętych wyjątków podważających rzekome reguły” – pisze recenzent Czaplinski, mocno kwestionując wartość ocenianych ustaleń. Kolejny z recenzentów delikatniej zastrzega: „Historycy znajdują zapewne jakieś luki w przywołanym w książce «materiale dowodowym», wskażą też może kontrargumenty dla poszczególnych tez” (Anna Zajdler-Janiszewska).

<sup>37</sup> „Zdecydowanie nie zgadzam się na ograniczenie metod badawczych do koszyka narzędzi (konceptualnych i metodologicznych) jednej tylko dyscypliny” (s. 29–30).

<sup>38</sup> Nie jest to jedyny przypadek, np. wypowiedzi M. Boguckiej Jan Sowa zna również za pośrednictwem osoby trzeciej (s. 124, przyp. 22); podobnie odległe dlań poglądy Michała Bo-brzyńskiego (s. 387, przyp. 51).

wyrafinowania aparatury teoretycznej [...] Polscy historycy wnoszą tu niewiele lub zgoła nic nowego [...] pod względem **konceptualnym** nie posuwają jednak wiedzy do przodu. Nie tworzą pojęć” (s. 101–102). Tak o Topolskim? Wolne żarty!

Gdy sięgamy do sporządzonych w książce przypisów, znaleźć można np. na s. 303 przyp. 29: „J. Tazbir, *Wzorce osobowe...*, dz. cyt., s. 48”. „Dz. cyt.” (*op. cit.*) to zgodnie z powszechnie stosowaną praktyką skierowanie czytelnika do poprzednio przywołanej z kilku wykorzystywanych pozycji wymienionego autora. „Dz. cyt.” w tym przypadku jest zbędne, nie zawiera żadnej dodatkowej informacji, gdyż wskazanie tytułu (nawet skróconego) jednoznacznie określa miejsce, do którego następuje odesłanie. Może co najwyżej bałamutnie rodzić wątpliwości czytelnika, czy intencją twórcy przypisu nie było powołanie ostatnio cytowanej pracy wskazanego autora. W tym przypadku została ona wskazana na s. 290: w przyp. 13: „Zob. J. Tazbir, *Myśl polska w nowożytnej kulturze europejskiej*, Warszawa 1986, s. 60”. Zatem czytelnik zostaje bałamutnie skierowany do dwóch publikacji równocześnie (*Wzorce osobowe...* i *Myśl polska w nowożytnej kulturze europejskiej*), choć tylko jedna z nich jest właściwa. Niewykluczone, że w ten oryginalny sposób Autor chce poinformować czytelnika, że przywołuje daną pozycję po raz kolejny. Po co?

Teoria i filozofia prawa nie jest dziedziną łatwą, podobnie jak i historia doktryn politycznych. Jan Sowa swą podstawową tezę o nieistnieniu polskiego państwa po roku 1572 funduje na sformułowanej w pięknej książce *Dwa ciała króla. Studium ze średniowiecznej teologii politycznej koncepcji E. Kantorowicza*, pisząc: „Jak postaram się pokazać w Rozdziale 3, wykorzystując teorię Ernsta Kantorowicza” (s. 36–37). Jednak chyba nie rozumie problemu, którym się zajmuje. Gdy pisze o przyjętej od Kantorowicza doktrynie dwóch ciał króla, uznaje, iż znajduje w niej odpowiedź na pytanie: „dlaczego należy zakładać, że kolejny król jest władcą tego samego królestwa co poprzedni” (s. 232). A tu w grę wchodzi ciągłość władzy, nie królestwa. Co do tego ostatniego nie było zresztą wątpliwości. Ideę ciągłości władzy należało ukształtować. I średniowieczną koncepcję w szesnastowiecznej Anglii adaptowano do aktualnych potrzeb. Materiały źródłowe do tego procesu badacze znaleźli w *Raportach* Edmunda Plowdena, napisanych – błędnym zdaniem Habilitanta (s. 232) – „w 1571 roku dla królowej Elżbiety I”<sup>39</sup>. Co istotne Jan Sowa tekst z dzieła Plowdena cytuje za Kantorowiczem (czego zresztą nie ukrywa)<sup>40</sup>. Nie ukrywa też, że poprawia

<sup>39</sup> Wg E. Kantorowicza, z którego korzysta Jan Sowa, owe raporty zostały zebrane i opracowane za panowania Elżbiety I. Warto zauważyć, że Plowden to rzymski katolik, który w elżbietańskiej Anglii odrzucił propozycję konwersji i został odsunięty od spraw publicznych.

<sup>40</sup> Piszący przed półwieczem Kantorowicz odwołuje się do pochodzącego z 1816 r. wydawnictwa źródłowego. Jan Sowa miał już szansę sięgnięcia do nowoczesnego, znaczącego dla jego rozważań wydawnictwa: *Documents Illustrating the Theory of the King's Two Bodies in the Age of Shakespeare: The Reports of Edmund Plowden and a Comparative Discourse of the Bodies Natural and Politique by Edward Forset*, Edwin Mellen Press 2006. Ale z niej nie skorzystał.

przekład zastępując „ciało wspólnotowe”, jak w tłumaczeniu u Kantorowicza, swoim „ciałem politycznym”<sup>41</sup>. Nie uprzedza jednak, że źródła nie cytuje wiernie za Kantorowiczem, opuszczając (świadomie czy z niestaranności?) niektóre fragmenty. Jeszcze poważniejszym nadużyciem jest ukrycie przed czytelnikiem, że cytat jest dziełem manipulacji Jana Sowy, bo w źródłach w tej postaci nie istnieje. To, co w pracy przedstawione zostało jako jednolita koncepcja Plowdena, w rzeczywistości stanowi kompilację stworzoną dopiero w **XXI w.** przez Jana Sowę. Kompilacja ta składa się z fragmentów źródeł przywoływanych przez Kantorowicza w *Dwóch ciałach króla* na stronach 5–6, 10 i 322. Pierwsze z tych źródeł to materiały związane z charakterem decyzji Edwarda VI, który wydzierżawił fragment księstwa Lancaster, drugie zawiera analizę charakteru i skutków wniesienia opłaty do sądu Henryka VII, trzecia zaś dotyczy znaczenia i interpretacji dekretu Aleksandra III *Quoniam abbas* w związku z konsekwencjami majątkowymi decyzji Henryka VIII o kasacie klasztorów<sup>42</sup>. Także autor źródła, szesnastowieczny angielski prawnik, Edmund Plowden, który interesujący nas materiał praktyki gromadził, przedstawia odpowiednie teksty w różnych miejscach swego dzieła (na s. 177, 212a, 233a<sup>43</sup>), nie tworząc z nich jedności<sup>44</sup>. Materiały te powstały w różnym czasie, w różnym miejscu i sporządzone zostały przez różnych autorów. Zatem Autor świadomie wprowadza czytelnika w błąd, tylko dlatego, że odpowiada to jego koncepcji.

Czy w taki sposób rodzi się koncepcja braku państwa polskiego od 1572 r.? „Spróbujmy wykorzystać koncepcję dwóch ciał króla wraz z jej aparatem pojęciowym do opisanie sytuacji I Rzeczypospolitej” (s. 236–237); „począwszy od 1572 roku nie było już w ogóle czegoś takiego jak państwo polskie (i litewskie) [...] Efektem tego wszystkiego okazał się brak państwowości, znany w polskiej historiografii pod nazwą rozbiorów” (s. 37). Nieistnienie Polski „trwało już przez dokładnie 200 lat przed pierwszym rozbiorem Polski” (s. 38). „Rozbiory udowodniły, że Polska nie była państwem w żadnym właściwie aspekcie uwzględnianym przez jakąkolwiek definicję państwowości” (s. 40).

Realny monarcha z ogromną władzą, sejm i jego ustawodawstwo, sejmiki, rozbudowany system sądownictwa stanowego, Trybunał Koronny, hierarchia urzędnicza, wojsko, samorząd miejski i wiejski, system celny i polityka zagraniczna<sup>45</sup>, to

<sup>41</sup> s. 233, przyp. 35. Niestety, nie czyni tego konsekwentnie i chwilami pozostawia *ciało wspólnotowe* także w swoim tekście. Czytelnik nie wie, czy to świadoma decyzja, czy wynik niestaranności (zwrócił na to uwagę w swej recenzji T. Zarycki, zob. niżej przyp. 47).

<sup>42</sup> Informacje te podaje E. Kantorowicz.

<sup>43</sup> Tak wskazuje Kantorowicz i za nim Jan Sowa.

<sup>44</sup> Jak powstawało dzieło Plowdena, zob. A. Simpson, *Legal Theory and Legal History*, London 1987, s. 90–91.

<sup>45</sup> Wyczerpującą, choć syntetyczną analizę zdecydowanie **realnej** państwowości znaleźć można w: W. Uruszczak, *Historia państwa i prawa polskiego*, t. 1: 966–1795, Warszawa 2010, bądź ze



fakty dla habilitanta bez znaczenia. I niestety dla członków komisji prowadzącej procedurę habilitacji też.

Niepokój budzi też samo postępowanie habilitacyjne. Oto jeden z recenzentów tak charakteryzuje twórczość habilitanta: „imponujący dorobek (sto artykułów, trzy książki, tłumaczenia z języków obcych)”, choć w tej samej kwestii drugi z recenzentów pisze: „Na dorobek naukowy składają się 24 teksty drukowane oraz dwie książki. W wymiarze ilościowym prezentuje się zatem skromnie”. Zastanawiamy się, czy to możliwe, by w tak odmienny sposób charakteryzować naukowy dorobek tego samego habilitanta. Jak widać możliwe. I zaglądamy do trzeciej recenzji. Niestety, dowiadujemy się z niej, że na dorobek habilitanta „składają się teksty publikowane w czasopismach naukowych i pracach zbiorowych, w przeważającej mierze poświęcone analizie neoliberalnego modelu partycypacji w kulturze [...] oraz, że teksty te łączą się z takimi dokonaniem jak 1) redakcja i wydanie materiałów międzynarodowej konferencji [...] 2) współredakcja dwóch innych książek [...], pokaźna lista tłumaczeń z francuskiego [...] i angielskiego [...], 4) aktywność kuratorska, eseistyczna i publicystyczna”<sup>46</sup>. Analizująca dorobek habilitanta komisja, działająca pod przewodnictwem Ewy Kosowskiej z udziałem sekretarza Kazimierza Krzysztofka i członków: Hanny Gosk i Ewy Domańskiej, nie dostrzegła tu podstaw do jakichkolwiek wątpliwości.

Podobne rozbieżności dotyczą i samej rozprawy habilitacyjnej, choć jeden z recenzentów nie żałuje mocnych słów krytyki: „autor niejednokrotnie przeinacza fakty i wydarzenia, bądź mówiąc jaśniej, tworzy je na użytek pracy. Za pomocą takiego postępowania jest w stanie udowodnić najbardziej absurdalne tezy. Nie sposób ocenić, czy setki błędów rzeczowych oraz irytujących interpretacji obecnych w pracy habilitacyjnej były jedynie następstwem strategii postępowania badawczego, czy też następstwem niewiedzy i nieznajomości warsztatu historycznego”. Dalej recenzent wytyka, że książka ukazała się bez recenzji wydawniczej historyka, dzięki której „przynajmniej niektóre tzw. szkolne błędy można było wyeliminować. Recenzent mógłby też autorowi zasugerować zapoznanie się choćby z najnowszymi syntezami dziejów Polski i podręcznikami, gdyż autor niestety z nich nie skorzystał. Korzystał z tych prac, nieraz już przestarzałych, które mu były wygodne.

Aby odnieść się do wszystkich błędnych zdań, recenzent musiałby napisać książkę. [...] terminy i pojęcia współczesne miesza ze staropolskimi, tracąc dystans do odleglejszych epok i nie dając sobie szans ich zrozumienia. Używa pojęć

---

starszych S. Kutrzeba, *Historia ustroju Polski w zarysie*, t. 1: *Korona*. Udawanie, że takich opracowań naukowych nie ma i akceptowanie tej symulacji przez recenzentów do niczego dobrego nie prowadzi.

<sup>46</sup> Ten fragment recenzji tak został przesycony ogólnikami, że nasuwa nieodparte wrażenie, iż recenzent nie przeczytał żadnej z opisywanych publikacji (por. wyżej przyp. 36).

służących wartościowaniu typu kultura niższa i wyższa, tak jak to praktykowali twórcy teorii rasowych w końcu XIX w.”

Czy dałoby się gorzej ocenić dzieło<sup>47</sup>? Wydaje się, że te ustalenia stanowią z naddatkiem podstawę do stwierdzenia, że recenzowana praca nie przynosi wymaganego przez ustawę „znacznego wkładu autora w rozwój określonej dyscypliny naukowej” (art. 16.1)<sup>48</sup>. Wbrew temu przekonaniu recenzent konkluduje: „Szczęśliwie dla autora książka habilitacyjna nie jest z zakresu historii, gdyż jej ocena mogła być tylko negatywna. Ponieważ jest z zakresu kulturoznawstwa, jej zalety przeważają nad jej słabościami”. Wniosek szokujący, gdyż wynikałoby zeń, iż recenzent albo uważa wypisywane przez habilitanta bzdury z zakresu historii za naukowe wypowiedzi z zakresu kulturoznawstwa – co wydaje się nieprawdopodobne – albo uznaje, że habilitacja jest dziełem naukowym np. w ponad 51%, a nienaukowym w zaledwie 49%. Ktoś jednak winien wskazać, które strony książki mają cechę naukowości.

Kolejny z recenzentów, Przemysław Czaplinski, w tej samej materii wypowiada się następująco: „uważam, że książka Jana Sowy spełnia wzorcowo rolę podsumowania i przekroczenia referowanego przez autora stanu badań. Polem przedmiotowym jest tu refleksja dotycząca Polski szlacheckiej ujmowanej w perspektywie długiego trwania. Książka Jana Sowy jest pod tym względem dowodem ogromnej pracy, dociekliwości i lojalności wobec rozlicznych kontekstów – autor referuje bądź pożytkuje poglądy najważniejszych badaczy [...], przytacza opinie, konfrontuje stanowiska [...]. [Dzieło to] jest ogromnie przydatnym repetytorium wiedzy z zakresów podstawowych – gospodarki, polityki, kultury. Pracowicie zebrane i przejrzyste skomponowane informacje tworzą studium syntetyzujące naszą wiedzę o Polsce szlacheckiej [...] Obfite dane zebrane przez autora i starannie pogrupowane zostały w książce sfunkcjonalizowane i powiązane z kluczową tezą książki, która mówi, że po śmierci Zygmunta Augusta Polska jako państwo przestała istnieć”. Czy to nie wygląda na kpiny? Przypomnijmy tu stanowisko poprzedniego recenzenta: „Aby odnieść się do wszystkich błędnych zdań, recenzent musiałby napisać książkę!”

Czy to nie dość podstaw do zastanowienia się nad pytaniem, czy nie mamy tu do czynienia z pseudonauką i pseudonaukowcem? Tej wątpliwości recenzenci

<sup>47</sup> Co znamienne, w wypowiedziach na temat książki, które pojawiły się po jej opublikowaniu, znajdujemy bardzo wiele słusznych zarzutów, których żaden z recenzentów nie zdołał dostrzec, por. np. T. Zarycki, *Recenzja książki...*, „Stan Rzeczy” 2012, nr 1 (3), s. 222–230 lub I. Lewandowska-Malec, *Artykuł recenzyjny książki...*, „Krakowskie Studia z Historii Państwa i Prawa” 2013, t. 6 (3), s. 285–301.

<sup>48</sup> W tej sytuacji może zastanawiać dwukrotna zmiana recenzentów w postępowaniu.

nie tylko nie rozwiali, ale nawet jej nie dostrzegli. Wszyscy w gruncie rzeczy mają świadomość mizerii wiedzy, którą posługuje się autor, jako podstawy do budowy hipotez. Żadnemu z recenzentów to nie przeszkadza.

Czy wykorzystując spełnianie przez książkę dwóch z zalecanych kryteriów naukowej doskonałości, wolno nam wciąż twierdzić, że zmierza ona w tym kierunku?

## 5

Angielski. Oto dwie wypowiedzi w sprawie posługiwania się w nauce językiem angielskim.

Pierwsza: „Wygląda na to, że kwestia publikowania w języku angielskim stała się dla ekspertów NCN swoistą «przepustką» do doskonałości. Nie tylko bowiem wymaga się od ubiegających się o granty, aby zasadnicza część ich projektu była w języku angielskim, ale także, aby ich dorobek publikacyjny znajdował się w czasopismach z ministerialnej listy A (są to w zdecydowanej większości czasopisma angielskojęzyczne)”<sup>49</sup>.

Druga: „Język angielski jest swoistym *lingua franca* nauki (a przynajmniej jej dużej części). Dlatego chcąc zaistnieć w nauce światowej, powinniśmy pisać i publikować po angielsku”<sup>50</sup>.

Choć uznajemy potrzebę znajomości i umiejętności posługiwania się najrozmaitszymi narzędziami nadającymi się do tworzenia i przetwarzania tekstu, to przywołana deklaracja wywołuje sprzeciw<sup>51</sup>:

– po pierwsze: warunkiem zaistnienia w nauce światowej jest po prostu uzyskanie osiągnięć naukowych – to truizm, ale zapominać o tym nie wolno. Umiejętność, czy praktyka publikowania po angielsku dla zaistnienia w światowej nauce absolutnie nie wystarczy. Posługiwanie się jakimkolwiek językiem nie zastąpi osiągnięć naukowych i nie zatuszuje ich kiepskiego poziomu. Od udostępniania społeczności światowej polskich osiągnięć badawczych jest biurokracja naukowa, która jednak ochoczo i to zadanie przerzuca na pracowników nauki;

<sup>49</sup> Z. Drozdowicz, *Wskaźniki doskonałości naukowej*, „Forum Akademickie”, styczeń 2015.

<sup>50</sup> [http://ekulczycki.pl/warsztat\\_badacza/sownik-dla-badacza-czesc-ii-pisanie-tekstow/#disqus\\_thread](http://ekulczycki.pl/warsztat_badacza/sownik-dla-badacza-czesc-ii-pisanie-tekstow/#disqus_thread). Autor osłabia negatywny walor swej wypowiedzi, ograniczając jej wagę jednak nieostрым zastrzeżeniem „a przynajmniej jej dużej części”.

<sup>51</sup> Pomijamy niepomijalny fakt, iż każdy przekład stanowi interpretację tłumaczonego tekstu, co przy przedstawianiu ustaleń naukowych ma ogromne znaczenie. Tego niebezpieczeństwa uniknąć można jedynie wówczas, gdy naukę uprawia się w obcym języku, w tym przypadku po angielsku. Nie decydujemy się jednak na postulat usunięcia języka polskiego z polskich uczelni.

- po drugie: są dziedziny nauki, którym oddawać się bez znajomości języka polskiego nie można i za pomocą *lingua franca* uprawiać nie wolno<sup>52</sup>;
- po trzecie: warto zapewne pamiętać o ogromnym przyspieszeniu postępu wiedzy, gdy uniwersalny język – łacinę – zaczęły zastępować języki narodowe;
- po czwarte: tylko przypomnijmy bez wyprowadzania oczywistych wniosków: język narodowy jest warunkiem zachowania narodowej tożsamości<sup>53</sup>. Unifikacji językowej w formie carskiej rusyfikacji i prusko-austriackiej germanizacji dokonywano nie w celu przyspieszenia rozwoju ziem poszczególnych zaborów. Szacunek dla języka narodowego winien wzrastać zwłaszcza w chwili, gdy okazuje się, że projekt europejskiej unifikacji – delikatnie mówiąc – zaczyna budzić pewne wątpliwości.

## 6

Podporządkowywanie nauki biurokracji – jej kudryczycacja wydaje się tendencją nie do zatrzymania. Protestami środowiska nie przejmuje się wśród decydentów poważnie nikt<sup>54</sup>. Nie da się jednak całkowicie wykluczyć, że przynajmniej w minimalnym zakresie przywrócona zostanie zasada, że podstawowe

<sup>52</sup> Por. np. piękny przekład *Pana Tadeusza*, który jednak już w podtytule sprawia trudności nie do pokonania: *Pan Tadeusz or THE LAST FORAY IN LITHUANIA* (lub równie zabawnie: *Sir Thaddeus, or the Last Lithuanian Foray*), <http://www.antoranz.net/BIBLIOTEKA/PT051225/PanTad-eng/PT-Start.htm#CONTENTS>. „Foray” to m.in.: *air attack, air raid, air strike, banditry, board, boarding, brigandage, brigandism, depredate, depredation, despoil, despoiling, despoilment, despoliation, direption, escalade, fire raid, fleece, forage, foraging, freeboot, freebooting, gut, harass, harry, incursion, inroad, inundate, invade, invasion, irruption, loot, looting, make a raid, make an inroad, maraud, marauding, overrun, overswarm, overwhelm, pillage, pillaging, plunder, plundering, prey on, raid, raiding, ransack, ransacking, rape, rapine, ravage, ravagement, ravaging, raven, ravish, ravishment, razzia, reive, reiving, rifle, rifling, sack, sacking, saturation raid, scale, scale the walls, scaling, shuttle raid, spoil, spoiling, spoliage, spoliation, storm, sweep, take by storm*, ale w żadnym z tych określeń nie mieści się legalne bezprawie polskiego zajazdu (por. art. 13 Materii status w Prawach kardynalnych z 1768 r.). Podobnie pierwsza fraza poematu: „Litwo! Ojczyzno moja!” – niby poprawnie oddana w angielskim „Lithuania, my country!”

<sup>53</sup> Por. wstęp do ustawy z 7 października 1999 r. *O języku polskim*.

<sup>54</sup> Tym bardziej, że nie zajmuje ono jednolitego stanowiska, zob. np. E. Kulczycki, *Skazani na punktozę* ([http://ekulczycki.pl/warsztat\\_badacza/skazani-na-punktoze](http://ekulczycki.pl/warsztat_badacza/skazani-na-punktoze)): „Otóż jest to nierealna ułuda, gdyż nas na ocenę ekspercką po prostu nie stać. Nie stać nas, bo brakuje nam dwóch podstawowych kapitałów: (1) odpowiedniej ilości twardej waluty i (2) kapitału społecznego opartego na zaufaniu do ekspertów. Jesteśmy skazani na punktozę. Oczywiście, przy założeniu, że naukę w ogóle trzeba oceniać”. Autor, jak i wielu innych, zakłada, że istnieje alternatywa: system ekspercki (recenzja) albo system punktowy, a to przekonanie niezasadne. Każdy system punktowy ma u swoich źródeł recenzję merytoryczną, którą dopiero, dla potrzeb biurokracji, przekształca się w ocenę punktową.

koszty funkcjonowania stanowiska pracy (koszty delegacji, uczestnictwa w konferencjach, dostęp do archiwaliów, zasobów bibliotecznych, zakup książek i materiałów biurowych itp.) stanowić jeszcze kiedyś będą obciążenie pracodawcy, bez potrzeby ubiegania się przez pracownika o „grant na papier”<sup>55</sup>, bądź co zdarza się zbyt często, bez konieczności pokrywania tych kosztów z prywatnej kieszy uczzonego.

Bardziej jest prawdopodobny dotychczasowy wariant rozwoju sytuacji w kierunku dalszej opresyjności ze strony biurokracji: kolejne zwiększenie zakresu i typów niezbędnych sprawozdań i rodzajów przeprowadzanych ocen, zwiększenie liczby obowiązkowych instancji recenzyjnych przy jak największej liczbie procedur, narzucenie uczelniom i instytutom obowiązku utworzenia i prowadzenia na ich koszt w pełni dostępnych dla urzędników baz danych zawierających wszechstronne informacje o zatrudnionych naukowcach, wprowadzenie opłat (np. z tytułu prawa autorskiego) za korzystanie z bibliotek, czyli ostatecznie doprowadzenie do sytuacji, że najkorzystniejszym stanie się samozatrudnienie na stanowisku profesora!

W końcu nie da się jednak wykluczyć dalszej racjonalizacji systemu finansowania nauki, także w sferze finansowania związanej z nauką biurokracji. Czy nie jest bowiem piękną wizją grantów w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego? Gdy każdy urzędnik co tydzień (a może tylko raz w miesiącu) przygotowuje wniosek na konkurs o przyznanie środków na funkcjonowanie stanowiska pracy?

---

<sup>55</sup> Równie pożądaną, ale już całkowicie nierealną wizją byłoby zapewnienie przez państwo badaczom bezpłatnego dostępu do wszelkich publicznych zasobów (archiwa, biblioteki, bazy danych), prawa bezpłatnych (może tylko odpłatnych w wysokości 33%) przejazdów na bezpłatne konferencje, sympozja i zjazdy.